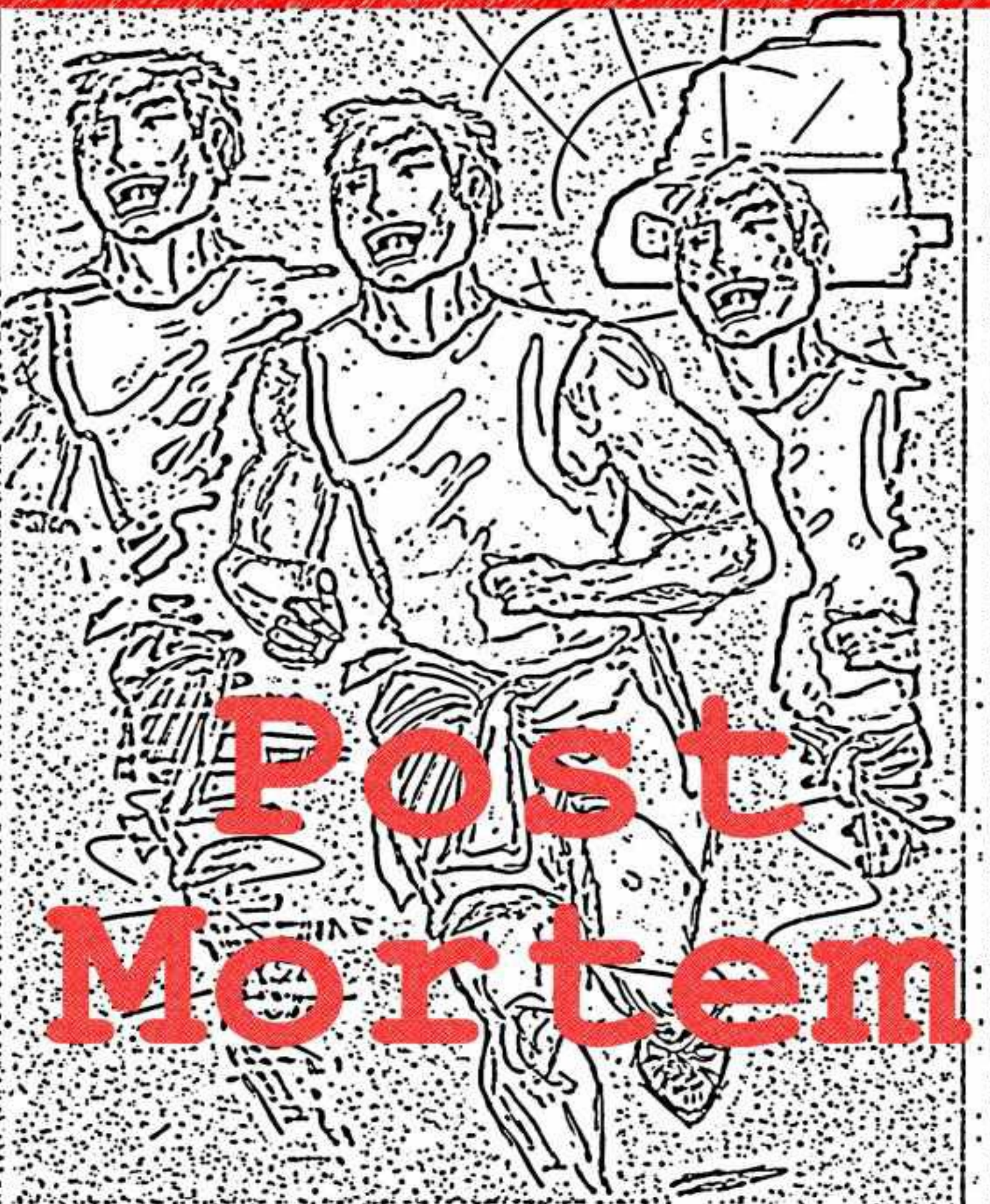


Filip Dąb - Mirowski



Post Mortem - czyli w związku ze zgonem (Polish po polsku)

- [Post Mortem - czyli w związku ze zgonem \(Polish po polsku\)](#)
- [Midpoint](#)

Post mortem

czyli w związku ze zgonem

„Post Mortem– czyli w związku ze zgonem”

Wydanie I

Copyright © 2011 by Filip Dąb-Mirowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora.

opracowanie graficzne | Filip Dąb-Mirowski

korekta | Marta Staniszewska

This ebook is licensed for your personal enjoyment only. This ebook may not be re-sold or given away to other people. If you would like to share this book with another person, please purchase an additional copy for each recipient. If you're reading this book and did not purchase it, or it was not purchased for your use only, then please return to Smashwords.com and purchase your own copy. Thank you for respecting the hard work of this author.

ISBN 978-83-934256-1-7

1.

- To on. - powiedziała kobieta wpatrzona w wyświetlaną na stole projekcję. Jej idealne rysy twarzy, nie zdradzały prawdziwego wieku. Blond włosy i piękne zielone oczy. Nadal wyglądała na dwadzieścia kilka lat. Mało kto wiedział, że te czasy dawno już minęły.

- Co robimy? Może kazać strażnikom zastrzelić go na miejscu? - zapytał stojący za nią młody, przystojny mężczyzna. Pochylił się nad jej ramieniem żeby lepiej przyjrzeć się postaci na ekranie.

- Nie. Nic nie róbcie.

Podnieśli głowy znad ekranu. Do ciemnego pomieszczenia weszła kolejna postać. Wysoki, chudy mężczyzna w powłóczyściej szacie. Podeszedł do stołu bez pośpiechu. Czekali w milczeniu. Nachylił się, a poblask projekcji rozlał się po pokrytej zmarszczkami twarzy, zatańczył na siwych włosach. Wpatrzył się w obraz. Przedstawiał on młodego mężczyznę stojącego przed wysokimi wrotami, w towarzystwie dwóch strażników. Kamera wykonała zbliżenie. Mogli teraz dokładnie zobaczyć jego twarz. Twarz przeciętną. Twarz którą mieć mogło tysiące innych ludzi. Mężczyzna odwrócił się rozglądając i przez moment, bezwiednie, spojrzął prosto w obiektyw kamery. Zobaczyli jego oczy. Starzec uśmiechnął się do siebie.

- Wpuśćmy go. Przeznaczenia nie wolno zmieniać. Nie można też pozwolić by czekało. - powiedział.

Dopalił piątego z kolei papierosa bez filtra, wypił ostatni łyk kawy tak gęstej i mocnej, iż niemal można było ją jeść łyżką. Założył czarną marynarkę, a potem poprawił krawat odcinający się zimnym błękitem na tle śnieżnobiałej koszuli.

Po raz ostatni ogarnął wzrokiem swoje małe mieszkanie. Wszystko zostało spakowane i uprzątnięte. Książki i ubrania, naczynia i przeróżne rzeczy osobiste powkładane zostały w kartony, a każdy z nich opieczetowano stosownym opisem, co znajduje się w środku i kto powinien go otrzymać. Nie było tego wiele.

- Dzisiaj umrę. - powiedział do siebie szeptem, spoglądając odruchowo na zegarek. Prócz zwykłej funkcji pokazywania aktualnego czasu, posiadał także dodatkowy wyświetlacz. Ekran ten odliczał godziny, minuty i sekundy pozostałe do jego niechybnego zgonu. Teraz informował, że będzie żyć jeszcze przez jedną godzinę, dwadzieścia dwie minuty i trzysta sekund.

Wideofon wydał z siebie kilka nieregularnych pisków sygnalizując, iż ktoś właśnie stoi przed drzwiami wejściowymi.

- Słucham? - spytał wciskając przycisk „Aktywuj” na panelu wideofonu.

Stojący przed drzwiami mężczyzna, ubrany był w jednolity, czarny garnitur. W roztargnieniu spojrzał najpierw na komputer który trzymał w dłoni, a następnie odparł do kamery.

- Paaaaan... hmm...Katias Raventry? Witam, tutaj Coelias Bum z Państwowego Nadzoru Śmierci. Czy mogę wejść?

- Proszę.

Drzwi rozsunęły się z cichym sykiem i urzędnik pewnym, szybkim krokiem wszedł do mieszkania.

- Bardzo mi miło - powiedział z uśmiechem ściskając dłoń Katiasa, po czym bez dalszych uprzejmości, przepchnął się głębiej. Omiatając mieszkanie taksującym spojrzeniem skwitował:

- Widzę, że wszystko już przygotowane. Doskonale. - obrócił się na pięcie.

- Ma Pan znakomity garnitur, bardzo twarzowy... i... nieregulaminowy. Powinien pan być w swoim roboczym kombinezonie.- Katias bez słowa wręczył mu kartkę z zaświadczeniem. Było tam napisane, że z uwagi na niską wagę zdarzenia, zezwala się na odstępnie od wymaganego ubioru. Zależało mu żeby tego ostatniego dnia dobrze wyglądać. Urzędnik wcale nie był zadowolony.

- Zwolnienie, co? Ech... co za czasy. To jakaś moda teraz z tymi garniturami. Przecież co za różnica dla was? A wygląda tak nienaturalnie... - opamiętał się trochę widząc wyraz twarzy gospodarza domu, więc prędko dodał. - Ekhm. No nic. Proszę się nie martwić. Wszystko będzie w porządku. Niektóre pańskie rzeczy, tak, jak napisał pan w przesłanym oświadczeniu zostaną rozdysponowane pomiędzy pana kolegów z pracy. Ponieważ nie posiada pan rodziny, pozostałe przejdą na stan Urzędu Opieki Nad Żyjącymi. Co do mieszkania, na dole czeka już czteroosobowa rodzina. Państwo.... - spojrzał na ekran trzymanego w ręce srebrnego sześcianu - Państwo Palms. - Uśmiechnął się.

- Dwie godziny temu spłonął im dom. Straż pożarna od razu skontaktowała się z nami. Okazało się, że pańskie mieszkanie będzie idealnym substytutem, bo zostawia pan wszystkie meble i sprzęt. Nie cieszy się pan, że tak sympatycznie opuści ten lokal?

Rozpromienił się.

- Taak... to bardzo miłe. - odparł smętnie. - Udław się, dupku. - dodał w myślach.

- Oooo...no, proszę nie mieć takiej skwaszonej miny! - powiedział urzędnik Bum kładąc dłoń na ramieniu Katiasa.

- To pański wielki dzień! Dzisiaj pan umrze! Pod pańskim zakładem pracy już stoi karawan, a w dzisiejszych nekrologach widnieje pana nazwisko. Wszyscy z pana firmy, a także sąsiedzi, przez cały tydzień będą pana oplakiwać, zgodnie z ustawowym obowiązkiem. Mieszkanie da dach nad głową tej przemilej rodzinie na dole. A po pańskie organy, no może z wyjątkiem wątroby, czeka już kolejka chętnych. Nie da się chyba godniej zejść z tego świata, co? - Urzędnik zrobił małą pauzę jakby na poważnie spodziewał się odpowiedzi. Po chwili jednak kontynuował.

- Dlatego gwarantujemy panu porządną, tradycyjną, sosnową trumnę i miejsce na miejskim cmentarzu. Wiem, wiem! Może to nie tak wiele, ale doprawdy panie Raventry – zerknął na ekran komputera - pański fundusz zgonu jest bardzo skromny... - skrzywił się jak po zjedzeniu cytryny.

- Gdyby odłożył pan odpowiednią sumę jak wszyscy, pewnie zamiast sosny, byłby dąb, a zamiast sztabowego, prostokątnego nagrobka - porządny monument z białego kamienia z figurkami, rzeźbami i tak dalej. Oj, nie odkładało się, nie odkładało, co? - mrugnął porozumiewawczo klepiąc Katiasa po plecach.

- Na co mi marmury i chryzantemy skoro i tak nie będzie miał kto przychodzić? - przemknęło przez jego głowę, a urzędnik perorował dalej.

- Wiem, wiem, wy młodo umierający! Zawsze ostatni grosz musicie wydać na imprezy, wyjazdy, wycieczki, dziewczyny, alkohol, narkotyki... tak, tak. - po czym dodał już poważniej - Wystarczającą radością powinna być dla was możliwość brania udziału w życiu społecznym i szczęśliwa oraz produktywna koegzystencja zakończona altruistycznym i chwalebnym przekazaniem dóbr doczesnych współobywatelom, którzy to...

Katias przestał słuchać nadgorliwego urzędnika zagłębiając się w swoich myślach. Jeśli chodzi o imprezy, na niewielu był, ponieważ muki, czyli „młodo umierający” jak on, byli zawsze otaczani swoistym, towarzyskim ostracyzmem. Co to za przyjaźń z kimś kto w młodym wieku zejdzie z tego świata?

W przedszkolu i podstawówce jakoś to jeszcze tolerowano. W liceum natomiast, rodzice i nauczyciele patrzyli na taki towarzyski mezalians z dezaprobatą. To było nieopłacalne. Ludzie ci najczęściej pełnili najmarniejsze funkcje i pracowali w najgorszych zawodach. A nie dajcie bogowie jakby ktoś się przywiązał i po takim płakał! Dłuższe niż tydzień rozpaczanie i wylewanie morza łez jest karane prawnie. Surowiej niż publiczne obnażanie się.

Jedynym wyjątkiem były wspomniane przez Buma imprezy, zwane zlotami straceńców. Organizowane przez tych szczęściarzy, którzy mimo zapowiedzianego zgonu w swoich młodych latach, dysponowali tak nieokiełznanym talentem, że nie godziło się posyłać ich do jakiegokolwiek normalnej pracy. Byli to wszelkiej maści artyści: aktorzy, malarze, pisarze, całkiem pokaźna grupa poetów, a także tancerki i prostytutki. Cóż, te ostatnie może nie miały klasycznego talentu, ale przynajmniej świetnie zarabiałały. Tam, w ich przestronnych apartamentach, zbierały się muki wszelkiej maści by w oparach alkoholu i narkotyków zapomnieć o przeznaczonym im losie. Jednak każda taka impreza, była jednocześnie czyjąś stypą (na której w dodatku, sam zainteresowany był obecny).

Poza wszelkiego rodzaju szaleństwami i dzikim rozprężeniem jakie tam obserwowano, miały te imprezy też swoje ciemne strony. Należały do nich, między innymi, częste samobójstwa. Nie mówiło się specjalnie kto i kiedy ze sobą skończy, ale wiadomo było, że spora część artystów, błędnych

poetów, rąbniętych malarzy i aktorów narkomanów odchodziła z tego świata za swoją własną sprawą. Dlatego Katias nieczęsto tam bywał. Nie specjalnie lubił widok wyprutych żył albo pokrytych kwaśnymi wymiocinami tapczanów. Owszem, jeśli chodzi o seks, był z wieloma kobietami. W jego środowisku człowiek który ginął w wypadku, a nie śmiercią samobójczą lub odchodził w ciężkiej chorobie był uważany za szczęściarza. Przyciągał. Kochał kiedyś jedną z nich, lecz ona zmarła młodo, jak zapisano w karcie urodzenia. Jakoś na powtórkę nie miał ochoty.

- Panie Raventry? - głos Buma wyrwał go z zamyślenia.

- Czy jest pan gotów?

- Tak, myślę, że tak... - odparł Katias spoglądając po raz ostatni na swoje mieszkanie.

Zastanawiał się jak w tych ciasnych dwudziestu kilku metrach zmieści się czteroosobowa rodzina. - Niech ich cholera. Mogą spać na zmianę. - uśmiechnął się złośliwie do tego pomysłu.

- Proszę nie martwić się o bagaż, nie będzie panu potrzebny. Haha ! - Zażartował Coelias Bum w sposób typowy dla jego profesji. - Haha ! - powtórzył Katias bez krzty wesołości.

Zatłoczony autobus nieuchronnie sunął w kierunku kolejnego przystanku. Odświętny, pogrzebowy strój Katiasa wyróżniał się znacząco na tle bezbarwnej, drelichowej masy robotników zmierzających, tak jak on, do swej pracy. Różnica polegała także na tym, że oni mieli tak podróżować jeszcze wiele razy.

Pojazd obniżył swój lot poduszkowca nadprzewodnikowego o metr i miękko osiadł na płycie przystanku. Przedstawiciele proletariatu wytoczyli się tłumnie w kierunku pobliskiej budowy, przed której bramą zaparkowano posępny czarny karawan. Katias szedł między nimi w swoim mikroklimacie pariasa który jak niewidoczne pole siłowe odpychał współtowarzyszy podróży już w autobusie. W bramie budowy czekał już na niego Coelias Bum i niewielka, dwuosobowa delegacja zakładowa.

- Witam ponownie panie Raventry! - eksplodujący entuzjazm Buma przyprawiony został dodatkowo przez oślepiający błysk wyszczerzonych w samozadowoleniu zębów.

- Pan wybaczy, że nie mogliśmy podwieźć pana do pracy - kontynuował - ale przepisy tego ściśle zabraniają. Ostatnie chwile przed... „Zdarzeniem” winny być spędzone tak jak byłoby to każdego innego dnia. Tak mówi artykuł czwarty Konwencji postępowania dozgonnego. Gdyby nie pozwolenie – wyciągnął zza pazuchy złożoną kartkę papieru – nie mogłoby być mowy o garniturze. Poza tym, zbankrutowalibyśmy na paliwie, przecież trupy słabo płacą, haha ! - W tym momencie Bum wymierzył lekkiego acz bardzo irytującego kuksańca prosto w obfity brzuch stojącego obok dyrektora budowy, który to gest miał zachęcić tegoż do śmiechu z kolejnego znakomitego żartu. Dyrektor nie podzielał jednak tej opinii i miast parsknąć salwą śmiechu, tylko cicho jęknął, kaszlnął, a następnie otarł obficie spocone czoło chustą z syntetycznego jedwabiu.

- Katias... to znaczy, eee... Panie Raventry. - wysapał w zdenerwowaniu dyrektor Ocap.

- Chciałem... w imieniu nas wszystkich, to znaczy rady budowy.. yyy... i w swoim własnym...- w tym miejscu zerknął na miętoszoną w tłustych palcach karteczkę z przemówieniem.

- ...podziękować za lata wydajnej pracy na rzecz dobra społecznego, przykładową postawę i sumienne wypełnianie obowiązków starszego pomocnika. Chciałbym także poinformować, że na

dowód naszego uznania nazwiemy południowy filar nr 131 pańskim imieniem - nerwowo zerknął w stronę urzędnika nim podjął swą mechaniczną przemowę.

- ...i tym sposobem będziemy stale mobilizowani do dalszej i wytrwalszej pracy ku chwale społeczeństwa... i... yyy... i Szlachetnego Triumwiratu. - W tym miejscu wyraźnie odetchnął i chowając wymęczoną karteczkę z przemówieniem do kieszeni, równocześnie sięgnął po chustę aby zetrzeć uporczywie napływające do oczu krople potu.

To nie była pierwsza tego typu sytuacja z którą zetknął się Frank Ocap. Jako obywatel którego akt urodzenia wskazywał wysoką długość życia ponad 76 lat, szybko i bezproblemowo awansował na wysokie stanowisko w branży budowlanej. Pracował już dwie dekady, a kolejne miał przed sobą i żywił szczerą nadzieję osiągnięcia wyższej pozycji. Dlatego też przykładał się do swoich obowiązków. Ten jednak zaliczał się do najmniej przyjemnych. Frank był w gruncie rzeczy człowiekiem o dobrym, lecz płochliwym sercu. Mimo, iż żał mu było muków, to jeśli o niego chodzi wszystko było jasne. Przepis to przepis. Tak po prostu jest. Jak większość ludzi miał silne poczucie, że nikt nie może umrzeć wcześniej i absolutnie nikt nie może żyć dłużej niż mu przepowiedziano - czuwała nad tym Agencja Nadzoru. Chwała jej na wieki. Katiasa było mu żal. Polubił tego spokojnego chłopaka którego w dodatku cechowała ponadprzeciętna inteligencja. Dziwny to los. Inteligencja wydawała się całkiem zbędna, w przypadku zawodowego „podawacza cegieł”.

- Ech, nie zjemy my już razem kawałka ciasta mojej Herty – pomyślał i zasmucił się. Nie znał nikogo innego poza sobą i nim kto lubiłby jej ciasto.

Poza dyrektorem, tylko Politeas Kross utrzymywał z Katiasem towarzyskie kontakty. W jego przekonaniu była to jedyna osoba zasługująca na miano przyjaciela. Politeas był, jak on, otoczony towarzyskim ostracyzmem. Nie z powodu długości swojego życia, bowiem miał przepowiedziane nad wyraz długie. Nie chodziło też o zdolności intelektualne, cwaniactwo miał we krwi. Łobuzerska twarz Politeasa, przez znajomych nazywanego w skrócie Poli, kryła inną prawdę.

Poli uznany został za osobnika o skłonnościach aspołecznych, niestałego w swoich poglądach. Ze swoimi predyspozycjami mógłby zajść bardzo daleko w hierarchii. Specjalne Konsylium Wróżbitów uznało jednak, nie bez racji, iż byłoby zbyt wielkim ryzykiem umieszczenie go na odpowiedzialnym stanowisku. Był to człowiek którego cechował diabelski spryt, okraszony wyraźną nutą zaciętości i naturalnego buntu, przez co, uwielbiał działać na przekór zwierzchnikom. Możliwe, że gdyby nie ten spryt, już dawno zniknąłby w nieprzyjemnym towarzystwie Agentów Nadzoru.

Z drugiej strony, gdyby przestał się wygłupiać nie miałby tylu kłopotów. Kiedyś pewnie skazano by go na banicję albo pustelnicze życie. Tacy ludzie przecież też musieli gdzieś się podziać. Dzisiaj świat był jednak bardziej cywilizowany. Poli wypchnięty został na margines i w jego cieniu, pod dyskretną obserwacją, pozwolono mu dalej wieść swój żywot. To on był drugą osobą w Pożegnalnej Delegacji.

- Kat... - zagaił Politeas z miną małego chłopca obrażonego na cały świat.

- Filar 131. Nieźle, co? - powiedział Katias uśmiechając się nieznacznie.

- Taaa... chciałem, żeby nazwali twoim imieniem cały budynek, ale wiesz jak to jest... - odparł z zakłopotanym uśmiechem, dodając:

- Dzięki, że zostawiasz mi swój ekspres do kawy, wiesz jak ciężko mi rano wstać bez porządnej dawki kofeiny i czterech fajów...

- Drobiazg. Będzie mi ciebie brakowało.

- Mnie ciebie też.

Dwóch przyjaciół uściśniło sobie ręce po raz ostatni w życiu.

- Świetnie, świetnie! - przerwał urzędnik Bum. - Bardzo ładne przemówienie dyrektorze Ocap, odnotuję ten fakt w raporcie. Bardzo dobry pomysł z tym filarem. - stwierdził notując coś w komputerze, a dyrektor ukłonił się uprzejmie.

- No to do dzieła. Proszę wystawić dłoń.

Katias, walczył przez chwilę sam ze sobą, w końcu jednak czując presję nieuchronności losu, z rezygnacją spełnił polecenie. Wtedy urzędnik wyciągnął małą ampulko-strzykawkę ze środkiem uspokajającym i uaktywnił ją przytykając do jego dłoni. Cichy syk poinformował o opróżnieniu pojemnika i zakończeniu procedury.

- Będzie Pan tak dobry panie Raventry... - mówiąc to Coelias wręczył mu przepisowy, budowlany hełmofon w kolorze jasnoczerwonym - Pan rozumie...

- Tak, tak, zgodnie z regulaminem. - mruknął, z irytacją nakładając kask na głowę, a środek rozluźniający rozlał się ciepłem w jego żyłach.

Czuł się jak skazaniec. Jednak w jego przypadku, wyrok zapadł już w momencie narodzin.

Gdyby mógł w tej chwili zobaczyć akta znajdujące się w komputerze urzędnika, widziałby pieczołowicie wykonany skan swojego aktu urodzenia. W dokumencie, suchym i konkretnym żargonem urzędniczym przepowiedziano:

„Figurant Katias Raventry dnia 23.VII w godzinach rannych, zginie w nieszczęśliwym wypadku. Dokładna godzina określona na podstawie wróżb pomocniczych – z dużym prawdopodobieństwem 10.30, viscera kurczenia bladoróżowe co by potwierdzało tezę.” - dalej w aktach, pod klauzulą tajności do której wgląd mieli tylko urzędnicy państwowi - „Figurant zostanie zgnieciony przez urządzenie latające, prawdopodobnie AAB lub AAC z ciężkim ładunkiem, prawdopodobnie ciekłym. Minutę wcześniej w urządzeniu zmierzającym z ziemi w kierunku wysokiej budowli (nota: A.M. - plac budowy albo poligon jakiegoś typu) nastąpi awaria techniczna. Uszkodzenie pojawi się najpierw w tylko jednej części maszyny, aby w krótkim czasie (nota: A.M. - od 10 do 20s.) przenieść się na kolejne. Maszyna nie będzie w stanie utrzymać wysokości zacznie spadać lotem wirującym z dużej wysokości wprost na figuranta. Poniesie śmierć na miejscu (nota: A.M. - bez żadnych wątpliwości)”.

Coelias Bum był już trochę podenerwowany, wciąż zerkał to w górę, to na swój komputer przeglądając notatki. Przed nimi wyrastał 149 piętrowy budynek biurowy. A dokładniej, jego metalicznie i żelbetowo goły szkielet.

Prowadził Katiasa pod ramię, na miejsce w którym zginie tragicznie. Oczywiście, on jako figurant, nie znał dokładnych szczegółów swojego zgonu. Wiedział tylko ogólnie, co będzie tego przyczyną i w którym miejscu nastąpi. Ponad wszelką wątpliwość wiedział ile dokładnie pożyje. Zdążył zerknąć przez ramię urzędnika łowiąc skrawek jego notatek. - Maszyna latająca? - zamyślił się odruchowo rozglądając. Przy wysokim i na razie strasznym szkielecie budowli krzątało się kilka latających urządzeń. Widział dwie spawalnice. Kilka aerotaczek oraz trzy lub cztery kafarowkuwacze.

- Bogowie! Tylko nie kafary! Zostanie ze mnie miazga – przeraził się do swoich myśli.

Urzędnik pociągnął go jeszcze kawałek. Znowu spojrzął w górę i nareszcie pokiwał z aprobatą.

Pozostali, obecni w pobliżu ludzie wykonywali rutynowe dla ich zadań prace. Jednak ciekawość zwyciężyła nad regulaminem i uważnie, lecz dyskretnie obserwowali rozwój wydarzeń. Politeas pozwolił sobie na skrajne nagięcie przepisów. Nawet nie próbując udawać, stał oparty o swój ogromny młot magnetyczny z zapalonym papierosem w ustach. Tego dnia pracował na placu. Przynajmniej mógł się pożegnać z przyjacielem.

Natomiast dyrektor Ocap przebywał w oddalonym o kilkadziesiąt metrów baraku kierownictwa, gdzie miał swój mały, prowizoryczny gabinet. - I tak bym tu siedział - pomyślał, dolewając obfitą ilość burbona do resztek kawy.

Fuzyjny silnik aerobetonarki zazgrzytał cicho, po czym jakby zawstydzony swoją postawą spalił się w krótkim błysku, którego zwieńczeniem była długa i szeroka smuga czarnego dymu. Pozostałe silniki wyraźnie wpadły w panikę, zajęczały donośnie sygnalizując pracę na podwyższonych obrotach. Jeden z nich nie wytrzymał napięcia sytuacji, zacharczał i zgasł. Moc pozostałych była niewystarczająca by skutecznie walczyć z nieubłaganym prawem grawitacji. Aerobetonarka zaczęła spadać. Jej wirujący lot w dół przybierał na prędkości wprost proporcjonalnie do słabnącego potencjału maszyny. Na dole, wpatrzony w niebo, czekał Katias Raventry.

- Tak, to już! Proszę stać spokojnie i niczym się nie martwić! - krzyczał urzędnik Bum, a jego głos z trudem przebijał się przez agonalny jęk betonarki nad nimi.

- Więc jednak to „automatyczna aero betonarka”! - pomyślał do siebie zadowolony z wyliczeń. Zanim skończył wypowiedź był już oddalony od przewidywanego miejsca katastrofy o dobre kilkanaście metrów. Odwrócił się i z ekscytacją oraz nabożnością obserwował spadające urządzenie, wzrokiem człowieka który wszakże wielokrotnie stykał się ze Śmiercią, ale nigdy ostrze jej kosy nie było wymierzone w niego.

Katias nie miał ani siły, ani ochoty dłużej przypatrywać się temu co działo się nad nim. Zaciśnął pięści krwawo wbijając paznokcie i zamknął oczy starając się opanować wibrujący w nim głęboko strach. Nie był zresztą w stanie zrobić wiele więcej. Wstrzyknięty środek miał za zadanie utrzymywać go w swoistym, rozluźniającym ubezwłasnowolnieniu co najmniej kwadrans. Może gdyby ktoś zmusił go do ruchu, krzyknął do ucha, wtedy wykonałby polecenie jak automat.

Nikt jednak, poza urzędnikiem Państwowego Nadzoru Śmierci, nie ośmieliłby się pisnąć chociaż słówka. A gdyby nawet, to po co?

Wielkie cielsko betonarki zatoczyło jeszcze jedno króciutkie koło w swojej wirującej walce nim runęło ostatecznie w kierunku upragnionej ziemi. Jej koszący tor lotu przechodził dokładnie przez miejsce, w którym nieruchomo i niewzruszenie stał Katias.

- O tak! Tak! - krzyczał urzędnik Bum uradowany jak dziecko, a ślina kapała mu z kącika ust. Pozostali w niemym przerażeniu przerwali, cokolwiek robili. Politeas zamarł na swoim młocie. Frank Ocap zastygł z kubkiem przy ustach.

Potężna eksplozja wypełniła niemal cały parter, a budynek zatrzęsł się i zakołysał w posadach. Strumienie wyrzuconego żeluzi wiążącego obficie pokryły cały plac budowy. Pozbawiona

metodycznego, uspokajającego ruchu mieszających łopat, różowa substancja poczęła natychmiast zasychać.

Jego czaszkę wypełniał chaos i nieokreślony ból. Nic nie słyszał, a w oczach tańczyły setki ogników zamazując wszelki obraz. Nie wiedział co się z nim dzieje. Leżał w bezruchu próbując ogarnąć umysłem zaistniały stan rzeczy. Najpierw z oddali i bardzo cicho, później coraz głośniejszemu z rosnącym napięciem niby odwrotność echo usłyszał jakiś głos. Znał go.

- Uciekaj ! Uciekaj, do kurwy nędzy ! Rusz dupę Kat ! - darł się Poli, próbując przekrzyczeć odgłos buchającego ognia, walących się rusztowań i panicznego wrzasku biegających dookoła ludzi. Podbiegł do niego przeskakując nad blokami gruzu, ślizgając się na kałużach różowego żelu. Złapał go za kołnierz marynarki i silnie pociągnął w górę, aż zatrzeszczały szwy.

Jak w transie podniósł się z otaczających go zgliszczy. Gdyby nie wstrzyknięta substancja i wydana przez Poliego komenda pewnie jeszcze długo leżałby na ziemi w ogromnym szoku.

Jego umysł pracował jednak coraz sprawniej. Żył. Krew pulsowała w żyłach, a serce biło szybko, lecz regularnie i to było najważniejsze. Cała jego egzystencja zaplanowana była do tego momentu. A potem? Później nie miało być już nic.

Zerwał się gwałtownie, a potykając się na różnokolorowych gruzach zgubił swój mocno nadpalony hełmofon i pobiegł przed siebie nie odwracając się. Nie zwracał już uwagi na nikogo i na nic.

Poli stał chwilę, dysząc ciężko. Spojrzał na swoje umazane mazią buty.

- No to teraz mam naprawdę przesrane - powiedział z lekkim uśmiechem.

- Tak panie Kalm... naprawdę nie wiem... tak, przykro mi... tak, rozumiem... - głos Coeliasa Buma drżał tak samo jak jego ręce, gdy odkładał mikroport komunikacyjny umieszczony w karawanie na miejsce. Twarz miał całą osmaloną, z marynarki pozostały jedynie skrawki, toteż na tym tle znacząco wyróżniały się białka jego oczu które utkwili w nieokreślonym punkcie przed sobą, zdjęty bezbrzeżnym strachem o swoją przyszłość.

- Nie rozumiem, jak to się stało... - popatrzył na trzymany w dłoni, strzaskany komputer. To jedyne zwłoki jakie miał w swoim posiadaniu. - Miało być całkiem inaczej... jestem niemal... nieee... jestem całkowicie pewien, że ustawiłem go tam, gdzie miał być. Ta betoniarka... nie powinna go minąć o niecały metr... miała zaryć w ziemię i skosić go wyhamowując przed budynkiem... a uderzyła w konstrukcję nawet nie muskając tego kretynaaaAAAU! Do cholery! Uważaj, jak tniesz, człowieku!!

- Przepraszam pana, ale to przez to, że się pan wierci. - powiedział robotnik z mini laserem, odcinając od spętanych nóg urzędnika, kolejny kawałek zaschniętego żelu.

Biegł, bo tylko do tego był zdolny, przewracał się, a później podnosił i biegł dalej. Przeciskał się między zdziwionymi przechodniami, przeskakiwał nad ruchomymi chodnikami ulicznymi, mijał upstrzone barwnymi dekoracjami witryny sklepów, restauracje rozsiewające woń potraw. Obrazy zlewały się w jedno. Trwało to tak długo, aż znalazł się wśród nieco zabrudzonych i częściowo wyludnionych budynków dzielnicy robotniczej, a wstrzyknięta mu substancja, której siła słabła z

każdą chwilą uwolniła jego ciało ze swych chemicznych kajdan. Z trudem łapał oddech. Słaniając się z powodu ogromnego zmęczenia skręcił w opuszczoną alejkę i usiadł pomiędzy śmietnikami.

Visit: <http://www.smashwords.com/books/view/107869> to purchase this book to continue reading. Show the author you appreciate their work!